Haes quouque, Naso, ferres,
etenim peiora tulisti.*
(Ovidius)

Jeden dzień z życia M.

Właściwie dzień rozpoczął się tak, jak wiele innych. Niczym specjalnym. Przedpołudniowy dom był cichy i spokojny. W kuchni pachniało kawą. Nalałam sobie filiżankę, skubnęłam kawałek bułki, bo szkoda czasu na jedzenie, no i mogłam wreszcie usiąść do pierwszego papierosa. Za oknem śnieg przysypywał ogrodową fontannę.

– Ładnie wygląda – pomyślałam przelotnie, potem odwróciłam głowę i zaczęłam poprawiać wiersz, który poprzedniego dnia tak jakoś sam mi się napisał.

– Cholera, rachunki! – zadzwoniło mi w głowie.

Popędziłam do gabinetu, włączyłam komputer. Przyleciałam z powrotem na łyk stygnącej kawy i zaciągnięcie się dopalającym właśnie papierosem. Wymazałam jakieś słowo w wierszu. Wpisałam inne. A potem rozłożyłam faktury i zaczęłam liczyć.

W uznaniu zasług zapobiegliwa Rodzinka podarowała mi na Gwiazdkę porządny kalkulator, tak więc liczenie szło prędko i sprawnie. Jedno mieszkanie, drugie mieszkanie, trzecie mieszkanie, uff...

– Cholera, prąd na klatce! – Biegiem po faktury.

Jedna teczka, druga teczka, trzecia, uff... Są. Z powrotem...

– Dobra, wklepujemy – powiedziałam i popędziłam do komputera.

Nawet szybko poszło. Rozesłałam. Telefon...

– Kiedy przelewamy? – usłyszałam głos Zaprzyjaźnionego Sąsiada. – Wieczorem?

– Wieczorem – zgodziłam się. – Ale dopiero o dziewiątej, bo przedtem mam ważną rozmowę.

Chwilę jeszcze postałam przy biurku, zastanawiając się, czy lepiej od razu zasiąść do roboty, czy też wrócić do kuchni na kawę. Stwierdziwszy, że komputer nie wystygnie, powróciłam do kuchni.

Na stole piętrzył się plik faktur, teczek i włączony kalkulator. Spojrzałam na niego z wyraźną niechęcią i wrzuciłam do szuflady. Nie, nie jestem księgową, a w matematykę bawiłam się po raz ostatni na maturze, ściągając od kolegi połowę zadań. Kiedy to było, też już nie bardzo pamiętam. W każdym razie w głowie pozostała mi tylko świadomość, że nie potrafię odróżnić algebry od trygonometrii.

Niestety, życie jak to życie, nakłada nieraz różne obowiązki i ostatnie pół roku udowodniły mi niezbicie, że chcieć – to móc. Albo raczej – gdy trzeba, to trzeba. W ten właśnie sposób stałam się niechcący ekspertem od pism rozliczeniowych, co zaowocowało nagłym i niepożądanym skutkiem.

– Kurwa, ja chcę pisać opowiadania, a nie ten szajs! – mamrotałam z furią, wklepując ostatnie liczby 10-stronicowego rozliczenia Księgi Przychodów i Rozchodów kamienicy.

Ale podejmując temat kuchni, to taka z niej kuchnia, jak ze mnie księgowa. To nie kuchnia. To moja pracownia. Z dywanem, stołem zawalonym farbami i śpiącą obecnie pod śniegiem fontanną w ogrodzie za oknem.

Łyk kawy i z powrotem do komputera. Sięgnęłam po słuchawki i włączyłam skype'a. Nie miałam wyjścia, musiałam się z nim zaprzyjaźnić, skoro na usilną prośbę zaledwie dzień wcześniej zainstalował go

Mój Ulubiony Góral. Rozmowa testowa przebiegła gładko i sprawnie. Roześmiałam się, słysząc swój głos: – No i co ja mam, kurka, tak gadać bez końca?
W tym momencie wyświetliło się gadu-gadu. Ktoś przysłał mi wiadomość.
– A jestem, jestem – odpisałam.
Od słowa do słowa okazało się, że dalszą rozmowę możemy prowadzić już przez Skype'a.
Rozległ się dzwonek. Kliknęłam. Tabelka. – A kuku, to ja!
– Co mam robić? – Palce śmignęły mi po klawiszach.
– Odbierz!
Chwila. Znalazłam, odebrałam.
– No, wreszcie!

Potem poszło już gładko. Do momentu, gdy do pokoju wparował Bliski Przyjaciel i zaczął niecierpliwie wymachiwać rękami. Zsunęłam słuchawki.
– Czemu, do diabła, nie podchodzisz do domofonu?! Dzwoni i dzwoni! Całe szczęście, że usłyszałem, bo to polecony z Urzędu Miasta – rzucił ze złością.
– Jak mogłam usłyszeć! Mam słuchawki na uszach – odparowałam.
– No to kto podpisze? – zapytał.
– Jak to kto? – zdziwiłam się. – Jesteś pełnomocnikiem, to podpisuj i odbieraj! I nie zawracaj mi głowy – dorzuciłam, ale Bliskiego wywiało już z gabinetu.

Kliknęłam na portal, zalogowałam się. W skrzynce świeciły jak neon trzy wiadomości. Wlazłam. Otworzyłam i zdębiałam. Tam, gdzie zazwyczaj była umieszczona skromna data, widniał zgrabny panelik z flagą polską, jakimiś numerami i zieloną słuchawką telefonu.
Co jest, kurka? – pomyślałam. – No dobra, otwieramy resztę. To może zaczekać.
No i weszłam na pozostałe. W każdej walił po oczach taki sam panelik.
Szlag! – kliknęłam, tak z ciekawości, na słuchawkę. Wyskoczyła ramka, odezwał się sygnał i napis poinformował mnie, że za chwilę odbędzie się rozmowa telefoniczna.
O Boże, do kogo ja dzwonię? – pomyślałam i w panice przerwałam połączenie.

A potem postanowiłam zabrać się solidnie do pracy. Przeczytałam jakieś opowiadanie, zeszłam na komentarze i zamurowało mnie ponownie. Każdy z nich opatrzony był owym niezidentyfikowanym panelem. Wylazłam na stronę główną – newsy też świeciły i przy każdej zmianie ekran podskakiwał jak piłeczka pingpongowa.
Wróciłam do wiadomości. W jednej z nich widniała prośba o wklejenie linku i wysłanie do nadawcy. Jasny gwint – pomyślałam. – Przecież ja nie umiem wklejać linków. Chociaż... mogę ostatecznie spróbować. No to jazda. Skopiowałam. Wysłałam. Zaczęłam czytać jakiś utwór. Zaświeciła wiadomość.
– Dupa, nie otwierają się! – widniało w niej jak byk.
No to biegiem do Shoutboxu. – Ratunku! – napisałam.
Po niedługiej chwili rozbłysło gg.
– W czym problem? – spytała Dobra Dusza Portalowa.
Wyjaśniłam i Dusza udzieliła mi szczegółowych instrukcji. Moje odpowiedzi były krótkie i jednoznaczne. Brzmiały: Nie rozumiem. Albo – Yyy?

O dziwo, to ja straciłam w końcu cierpliwość, nie Dusza. Po prostu ręce mi opadły. Kierowana wskazówkami, które skrzętnie zapisałam sobie na świstku papieru, poleciałam szperać po zakładkach, żeby chociaż te pieprzone panelki zgasły. Metodą prób i błędów, oczywiście, bo intelekt zawodził mnie już na całego.

– Właśnie wygrałaś konkurs na najgłupszego zawodowca portalu – powiedziałam do siebie i uciekłam do kuchni na resztę zimnej kawy i następnego papierosa.
Skreśliłam dwa słowa, wpisałam trzy nowe i wróciłam do borykania się z własną ignorancją. W tym momencie przyszła Jedyna.

– Jesteś mi potrzebna – powiedziała.
Zastygłam na moment.

– Ty mnie bardziej – stwierdziłam ponuro i wyjaśniłam o co chodzi.
Chwilę jeszcze trwało demonstrowanie mojego problemu, potem poklikałyśmy trochę na cztery ręce, wlazłam na komentarze i odetchnęłam z ulgą. Pieprzone panelki zgasły.
Na eksperymenty z umieszczeniem skracacza linków w zakładce nie miałam już siły, tak więc przychyliłam wreszcie ucha do prośby Jedynej.

– Co?! Dwadzieścia sześć kubeczków z łosiami? Jezu, a kiedy ja zdążę? – spytałam ze zgrozą, a potem popatrzyłam na zegar i zerwałam się jak oparzona. – Obiad, niech to szlag!
Nadchodziła właśnie pora karmienia.
Uff, zdążyłam. Najbliższy wrócił z pracy, rozdzieliłam posiłek między tych, co znaleźli się akurat w zasięgu garnków i popędziłam do komputera. Wszystko świeciło, a może nie wszystko, tylko mnie już w oczach migało? Skąd miałam wiedzieć?

Co było dalej, nie bardzo pamiętam, chyba jakaś korekta, jakieś wklejanie czegoś tam, jedną ręką pisałam na gg, drugą przewracałam karteczki, jednocześnie odpierając zmasowany atak słowny Jedynej. W międzyczasie przyszło pismo od Komisarza z Wiednia w sprawie spadku. No i trzeba było zwołać błyskawiczną konferencję na szczycie. Wtedy już wszyscy byliśmy podenerwowani. Po godzinie burzliwej debaty podjęliśmy wreszcie decyzję. Brzmiała ona: Olewamy spadek, mamy wszystko w dupie i robimy to, co Sowa Przemądrzała. Czyli – nic. A potem zaczęliśmy się śmiać na myśl o tym, jaki burdel spowoduje ta decyzja.

– Rany boskie, ósma – telefon! – Złapałam się za głowę.
Na szczęście pomyślny: Tak, Mistrzowi spodobała się książka, będzie ilustrować...
Po dwudziestu minutach ustalania działań pożegnałam się, wróciłam do kuchni i opadłam na krzesło. Nie zdążyłam nawet zapalić...

– Drrryń! – odezwał się telefon.

– To kiedy robimy przelewy? – usłyszałam.
Jęknęłam w duchu.

– Błagam, za dwadzieścia minut, dobrze?

– No to czekam. – Dźwięk odkładanej słuchawki.

Poleciałam do kuchni i zapaliłam papierosa. Próbowałam przy tym choć trochę się wyciszyć, ale poderwało mnie przypomnienie błyskającego gadu-gadu. No to biegiem je sprawdzić. Nie błyskało. Błyskały. Krótkie odpowiedzi, kurka, jeszcze maile... Spojrzałam na zegar, porwałam rachunki, forsę, klucze i popędziłam piętro wyżej.

Zaprzyjaźniony podsunął mi fotel, kot otarł się o nogi i zaczęliśmy działać. Potem ucięliśmy sobie małą rozmowę na temat nart, a jeszcze potem coś mi się nasunęło.

– To kiedy zaprosisz mnie na tego kielicha? – spytałam.

– A choćby zaraz – odparł i ucieszyłam się, bo wyraźnie potrzebowałam czegoś na wzmocnienie.

– Przywiozłem taką dobrą nalewkę z Włoch – powiedział Zaprzyjaźniony, wyciągnął butelkę i spojrzał na etykietę. – Robioną przez mnichów w jakimś klasztorze – wyjaśnił, odkręcił i nalał. Skosztowałam

ostrożnie. Zapiekło.

No i fajnie – pomyślałam i chlapnęłam do dna.

Otrzepało mnie jak stąd do Kansas City. Potem w żołądku poczułam miłe ciepło, Zaprzyjaźniony nalał następną kolejkę, a ja usiłowałam przypomnieć sobie, co właściwie jadłam od rana. Wyszło na to, że właściwie zapomniałam o jedzeniu.

Ubzdryngolę się na amen – przemknęło mi przez głowę.

No i chlapnęłam sobie ponownie.

– Cholerka – powiedziałam z uznaniem. – Za drugim razem jest wyraźnie lepsze.

– No to teraz coś na osłodzenie smaku – rozpromienił się Zaprzyjaźniony, sięgnął po Becherovkę i nalał pod sufit. Tak mi się przynajmniej zdawało.

Rozluźniłam się całkowicie. Po ziołowej goryczy poprzedniej nalewki, Becherovka smakowała świątecznymi piernikami. Świat stał się miły, ciepły i przyjazny. Rozsiadłam się wygodnie w fotelu i zaczęliśmy gawędzić.

Kiedy wróciłam do domu, byłam w znakomitym humorze. Ekran pobłyskiwał. Usiadłam i radośnie wszczęłam dyskusję na gadu-gadu.

– Zapalamy? – przerwał mi Najbliższy.

Skinęłam głową.

– Idę odstawić rytuał – napisałam, odeszłam od komputera i przycupnęłam na krzesełku przed choinką. Najbliższy skończył zapalać świeczki i puścił Mszę C-dur Mozarta.

A potem usiadł obok i wziął mnie za rękę. Przytuliłam głowę do jego ramienia i wpatrując się w migotanie lamety poruszanej ciepłem płynącym od płomyków, zatonęłam w muzyce.

– Ale do Wielkanocy chyba nie będziemy jej trzymać? – spytałam, patrząc w zamyśleniu na trzymetrową jodłę, która tylko w półmroku pokoju mogła jeszcze uchodzić za żywą. Płyta skończyła się, Najbliższy zgasił świece specjalnym, kupionym przeze mnie "błażkiem", a ja poszłam do Bliskiego.

– Nie masz jakiegoś drinka? – spytałam.

– A mam – odparł i wyciągnął Bolsa.

Poleciałam po swoją ulubioną szklankę. Bliski nalał szczodrze, dopełnił tonikiem i wymaszerowałam z powrotem do gabinetu, zatrzymując się przez krótką chwilę w kuchni na papierosa. Komputer mrugał. W pokoju unosił się zapach kadzidełka i zgaszonych świec. Pociągnęłam ze szklanki. Zegar wybił jakąś godzinę, ale jaką – nie zarejestrowałam. Wróciłam do przerwanej rozmowy...

W domu było cicho. Najbliższy, przyzwyczajony do nocnej pracy, pocałował mnie na dobranoc i wyszedł z pokoju. Założyłam słuchawki i podałam swoje namiary. W chwilę później rozległ się dźwięk telefonu. Odebrałam. Odezwał się Głos...

Potem poleciałam zrobić sobie następnego drinka. Bliski spał, więc na szczęście nie mógł skomentować. Korzystając z tego nalałam sobie hojnie i poprzez ciemne, uśpione mieszkanie powędrowałam z powrotem do gabinetu. Ekran świecił – błyskało gadu-gadu, ktoś na mailu domagał się potwierdzenia wysłanej wiadomości. Słuchawki leżały obok małej lampki. Pociągnęłam zdrowo ze szklanki, włożyłam je i usiłując jednocześnie rozmawiać, nadać to wymagane potwierdzenie oraz odpisać na pytania, spowodowałam śliczne i natychmiastowe zawieszenie komputera. Resztę nocy spędziłam, wpatrując się w nieruchomy, zaklinowany na wszystkie możliwe sposoby ekran.

O piątej rano Głos i ja padliśmy jednocześnie.

– Co mam zrobić? – spytałam w popłochu.

– Wyłącz – doradził Głos.

Wyłączyłam, wszystko umilkło. Najbliższy dotknął mojego ramienia. Powlokłam się do kuchni, zapakowałam śniadanie, dopiłam piwo karmelowe. W kącie majaczył niewyraźny cień Herr Katzenjammera. Jak zdołałam się umyć i wpełznąć do łóżka, nie bardzo pamiętam.

Obudziło mnie po paru godzinach. Obok czuwał Herr Katz. Przyłożyłam palec do ust, nakazując mu ciszę i polazłam pod prysznic.

Żadnej kawy – pomyślałam. – Bawarka i tabletka.

Bliski wszedł do kuchni i popatrzył na mnie z rozbawieniem.

– Co ci się nagle stało? – zapytał. – Wychlałaś mi ponad pół butelki wódki, a ty przecież wódki nie pijesz.

– Ponad pół? – jęknęłam.

– Dokładnie – potwierdził. – I śmiałaś się do rana. Przechodziłem parę razy, to wyraźnie słyszałem...

– Przecież spałeś! – zaprotestowałam.

– Ale później zacząłem pracować – wyjaśnił. – Najbliższy dzwonił rano i pytał, czy żyjesz, ale nie chciałem cię budzić – dorzucił.

– Bóg zapłać – powiedziałam z wdzięcznością i poweselałam. Nawet Herr Katz się uśmiechnął, a potem, po drugiej bawarce skinął mi ręką i odszedł.

Popatrzyłam na niedokończony wiersz.

I poczułam, że mój własny, prywatny Dzień świstaka, skończył się wreszcie.

** I to zniesiesz, Nazonie, zniosłeś wszak rzeczy gorsze.*

Dziękuję wszystkim, którzy uczestniczyli w moim Dniu,
a szczególnie Głosowi – za inspirację.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Miladora, dodano 26.02.2009 11:32

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.